

Rozsądny



GUY DE MAUPASSANT

Rozsądny

TEŁUM. ANONIMOWY

Blérot był moim przyjacielem od młodości, moim najlepszym kolegą; nie mieliśmy przed sobą żadnych sekretów. Łączyła nas głęboka przyjaźń serca i duszy braterska poufalość, zupełne zaufanie wzajemne. On wywnętrzał przedemną swe najdelikatniejsze myśli, nawet do tych małych wyrzutów sumienia, do których zaledwie sam człowiek wobec siebie przyznać się ośmiela. Ja, odwzajemniałem mu się tą samą szczerością. Ja byłem powiernikiem wszystkich jego miłości, on był znów moich.

Kiedy mi oznajmił że ma zamiar się żenić, uczulem się tem dotknięty jak zdradą. Czulem, że to był już koniec z tą naszą serdeczną i zupełną szczerością, która nas łączyła. Żona jego miała wejść między nas. Poufalość łoża małżeńskiego stwarza między dwoma istotami, chociaż już nawet kochać się przestały, pewnego rodzaju wspólność, pewnego rodzaju tajemniczą łączność. Są oni, ten mężczyzna i ta kobieta niejako tymi dwoma dyskretnymi współnikami, którzy nie dowierzają całemu światu... Ścisły jednak ten związek, który zawiązuje pocałunek małżeński, ustaje nagle z dniem, kiedy kobieta bierze kochanka.

Tak jak dziś stoi mi przed oczyma cała ceremonia ślubu Blérot'a. Nie miałem ochoty asystować tej uroczystości, mając wogóle wstręt do tego rodzaju wypadków, byłem tylko w merostwie i w kościele.

Żona jego, której przedtem nie znałem, była to wysoka, młoda blondynka, nieco szczupła, przystojna, o białych oczach i włosach... Chód miała lekko kołyszący, jak gdyby płynęła na lodzi.

Blérot wydawał się bardzo w niej zakochanym. Spoglądał na nią bez ustanku i czulem w nim gwałtowne pragnienie tej kobiety.

W kilka dni potem odwiedziłem go. Mówił mi: ani sobie nie wyobrażasz jak jestem szczęśliwy. Kocham ją szalenie, zresztą ona jest... ona jest... Nie dokończył zdania, lecz przyłożywszy dwa palce na ustach, zrobił ruch, który znaczył: boską, wspaniałą, doskonałą i wiele jeszcze innych rzeczy.

Śmiejąc się, zapytałem:

— Czy już nic więcej?

On rzekł:

— Wszystko co tylko możesz wymarzyć.

Przedstawił mnie jej. Była milutką, swobodną o ile wypadło, powiedziała mi, żebym ich dom uważał za swój. Czulem atoli że on, Blérot, już nie należał do mnie więcej. Zżyłość nasza, skończyła się. Z trudem zaledwie umieliśmy kilka słów ze sobą zamienić.

Odszedłem. Następnie podróżowałem po Wschodzie. Po upływie około 18 miesięcy, przez Rosyę, Niemcy, Szwecyę i Holandję, powróciłem do Paryża.

Nazajutrz po przybyciu, gdy błądziłem po bulwarze, ażeby zaczerpnąć powietrza paryskiego, spostrzegłem idącego naprzeciw mnie mężczyznę bardzo bladego, o rysach pomarszczonych, który zdawał mi się podobnym tak do Blérot'a, jak jest podobnym wychudzony suchotnik do różowego tęgiego chłopca. Patrząc na niego, zdziwiony i niespokojny pytałem sam siebie: czy to on? — On spostrzegł mnie i z radosnym okrzykiem podał mi swe dłonie. Ja mu podałem swoje i wyściskaliśmy się na środku bulwaru.

Po kilku nawrotach tam i z powrotem, kiedy mieliśmy się już rozejść, wydawał się bowiem znudzonym już tą przechadzką, zapytałem go:

— Coś nie wyglądasz zdrowo, jesteś może chorym? On odpowiedział: tak, jestem nieco cierpiący.

Miał zaś on wygląd człowieka, który wkrótce ma skończyć, i cała fala czułości napłynęła mi do serca na widok tego starego i drogiego przyjaciela, jedyne, jakiego wogóle miałem. Ścisnąłem go za ręce.

— Powiedz, co ci jest? Czy masz jakie cierpienie?

— Nie, jestem nieco zmęczony. Ale to nic.

— Cóż mówi twój doktor?

— Mówi, że to anemija i przepisał mi żelazo i surowe mięso.

Pewne podejrzenie zrodziło się we mnie. Zapytałem go jeszcze:

— Jesteś szczęśliwy?

— Tak, bardzo szczęśliwy.

— Całkiem szczęśliwy?

— W zupełności.

— Twoja żona?

— Przemiała! — Kocham ją więcej jak kiedykolwiek. — Spostrzegłem atoli, że się zarumienił, wydawał mi się zakłopotany jak gdyby obawiał się dalszych pytań tej treści... Wziąłem go pod ramię, wciągnąłem go do pierwszej lepszej kawiarni, pustej jeszcze o tym czasie, siłą prawie posadziłem go i w twarz, w twarz zapytałem:

— Słuchaj no mój stary René! powiedz ty mi prawdę.

On wyszeptał:

— Ależ nie mam ci nic do powiedzenia.

Głosem stanowczym odrzekłem:

— To nieprawda. Ty jesteś chorym, chorym na serce zapewne i nie śmiesz nikomu wyjawiać tej tajemnicy. Widoczne, że jakieś zmartwienie trawi cię. Mnie jednak powiesz.

— Mów, czekam.

Zarumienił się jeszcze bardziej i szeptał, odwracając głowę:

— Ależ głupstwo! To ja jestem... to ja jestem wariat...

Widząc że milczy, zacząłem:

— No, zobaczmy, mów.

Wtedy gwałtownie, jak gdyby wyrzucał z siebie myśl go trapiącą, nie wyznana jeszcze, zawołał:

— Ach, mam żonę, która mnie zabija, oto wszystko.

Nic nie rozumiałem.

— Jesteś przez nią nieszczęśliwy? Sprawia ci zmartwienia w dzień i w nocy. Ale jak?

— Przez co?

Głosem słabym, jakby się spowiadał z jakiejś zbrodni, wyjąkał:

— Nie, to ja ją kocham za bardzo.

Oślupiałem wobec tego brutalnego wyznania. Potem, wybuchłem śmiechem, wreszcie zapytałem:

— Zdaje mi się, że przecież... że przecież... mógłbyś — kochać ją mniej.

Twarz jego przyoblekła się dawną bladocią. Zdecydował się w końcu mówić ze mną otwarcie, tak jak dawniej.

— Nie, nie mogę. I z tego umieram. Sam wiem o tem. Sam siebie zabijam. Przeraza mnie to. Są dni, w które tak jak dzisiaj mam ochotę pójść sobie zupełnie, uciec na koniec świata, ażeby żyć, żyć długo. Później jednak, gdy wieczór nadchodzi, wracam do domu mimowoli, wstępuję z wolna na schody, dzwonię. — Ona już jest w domu, siedzi w fotelu i mówi mi: przychodzisz tak późno. .. Całuję ją na przywitanie. Potem siadamy do stołu. Podczas obiadu ja myślę wciąż: zaraz po obiedzie wyjdę i siądę na pociąg i pojedę sam nie wiem dokąd. Ale za powrotem do salonu czuję się tak zmęczonym, że nie mam odwagi ani się ruszyć. Zostaję. A potem, — a potem ulegnę zawsze.

Nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu. On to spostrzegł i odezwał się: Ty się śmiesz, ale zapewniam cię, że to jest straszne.

— Dlaczego, odrzekłem nie uprzedzisz twojej żony? Nie chcąc być potworem, zrozumie cię.

Wzruszył ramionami:

— Zdaje ci się. Jeśli nic jej nie mówię to tylko dlatego, że znam jej naturę. Nie jestto ani jej, ani moją winą. Jest taką, jaką ją stworzyła natura. Zapewniam cię mój drogi, że ma temperament Mesaliny. Ona tego nie wie, ale ja wiem i tem gorzej to dla mnie. Przy tem wszystkim jest ona miłą, słodką i czułą, w jej zrozumieniu wszystkie te szalone pieszczoty, które mnie wycieńczają i zabijają, są naturalne i umiarkowane. Zachowuje się jak nieświadoma pensyonarka. Tak, ona jest jeszcze niewinne, biedne dziecko.

Prawie każdego dnia rodzą się we mnie energiczne postanowienia. Zrozum, że przecież umieram. Ale dość jednego spojrzenia jej oczów, jednego z tych spojrzeń pełnych pragnienia i natychmiast ulegam, okłamując sam siebie:

To będzie ostatni raz, nie chcę już więcej tych palących pocałunków. — Potem, gdy znowu ulegnę, tak jak dzisiaj, wychodzę i idę przed siebie, myśląc o śmierci, mówiąc sam sobie, że jestem zgubiony, że to już koniec ze mną.

Umysł mój jest już tak osłabiony i chory, że wczoraj udałem się na spacer na cmentarz peré Lachaise. Spoglądałem na te szeregi grobów z myślą: i ja tu już będę wkrótce. Wróciłem z postanowieniem powiedzenia jej że jestem chory, z postanowieniem uciec od niej. I nie byłem wstanie.

Och, ty nie znasz tego wszystkiego. Zarządzaj od palacza tytoniu, który zatruwa się nikotyną, czy może wyrzec się tego rozkosznego zabijającego przyzwyczajenia. Odpowiedz ci, że sto razy już próbował, a bezskutecznie, z dodatkiem: tem gorzej, wołę jednak umrzeć z tego. Kiedy już jest się raz wziętym w więzy podobnej namiętności lub passyi, trzeba się jej już oddać całkowicie.

Podniósłszy się, zegnał się ze mną. Gwałtowny gniew ogarnął mnie, gniew nienawiści do tej kobiety, do tej bezdusznej istoty, milej a okrutnej. On zapinając palto, gotował się do wyjścia. Brutalnie rzuciłem mu w twarz: ależ do diabła daj jej raczej kochanków a nie pozwól zabijać siebie samego.

On wzruszył ramionami i nic nie odpowiedziawszy wyszedł.

Przez sześć następnych miesięcy nie widziałem go wcale. Codziennie oczekiwałem zawiadomienia o jego śmierci z zaproszeniem na jego pogrzeb. Nie miałem zaś ochoty udać się do niego, przejęty dziwnie skomplikowanym uczuciem pogardy względem owej kobiety, a gniewu i oburzenia na niego samego.

W jeden piękny poranek wiosenny przechadzałem się po polach Elizejskich. Był to dzień łagodny, który porusza w nas ciche pragnienia, z powodu których oczy nam błyszczą i wlewa się w nas dziwna chęć życia. — W tem ktoś trącił mnie w ramię. Obejrzawszy się spostrzegłem, że to on, wspaniały, doskonale wyglądający, różowy, otyły nawet.

Ucieszony z mego spotkania, podał mi obie ręce wołając:

— Mam cię wreszcie tchórzku.

Spoglądałem na niego oniemiały z zadziwienia:

— Ależ mój drogi... wieszuję ci, zmieniłeś się tak od tych sześciu miesięcy.

On zaczerwienił się i odrzekł z dwuznacznym uśmiechem:

— Robi się co można mój drogi.

Patrzałem na niego z uporem, który go widocznie żenował.

— A zatem jesteś wyleczony?

On szybko odpowiedział.

— Tak, tak, — zupełnie — dziękuję ci. — Potem zmieniając ton. — Jakże się cieszę, że cię spotkałem mój stary, będziemy się teraz znowu częściej widywali, nieprawdaż?

Ja jednak nie chciałem opuścić mego zamiaru dowiedzenia się czegoś więcej od niego. Zapytałem go wprost:

— Przypominasz sobie zapewne zwierzenie, które zrobiłeś przedemną przed sześciu miesiącami. Dlaczegoż wstrzymujesz się teraz?

Jakając się, wyszeptał:

— Przypuśćmy że ci nic nie powiedział i daj mi spokój. — Skoro cię jednak mam już cię nie puszczę. — Zapraszam cię do siebie na obiad.

Wprost szalona ochota ogarnęła mię nagle, ażeby zobaczyć jego obecne poźycie i mózdz zrozumieć. — Przyjąłem zaproszenie.

Żona jego przyjęła mnie nadzwyczaj mile. Miała zachowanie proste, podziwienia godne, naiwne, które wprost zachwycało. Jej długie ręce, twarz, jej szyja, odznaczały się doskonałemi liniami i białością.

Czuło się, że ciało jej jest delikatne, szlachetne, prawdziwie rasowe. I stąpała kołysząc się jak barka na morzu.

René pocałował ją po bratersku w czoło i zapytał:

— Czy Lucyan jeszcze nie przyszedł?

Odrzekła głosem dźwięcznym i swobodnym:

— Nie jeszcze mój przyjacielu. Wiesz sam że on się spóźnia codziennie.

Dzwonek zabrzmiał właśnie. Tęgi i wysoki chłopiec, silny brunet, o silnym zaroście, postawie Herkulesa, zjawił się w progu jadalni.

Przedstawiono nas sobie wzajemnie. On nazywał się Lucyan Delabarre. René i on uścisnęli się mocno za ręce. Po chwili zasiedliśmy do stołu. Obiad był bardzo miły, — pełen wesołości. René nie przestawał zabawiać się rozmową, poufale, serdecznie, otwarcie, tak jak niegdyś. — Co chwilę zwracał się do mnie ze słowami: Pamiętaj mój stary — powiedz zatem mój drogi, słuchaj no mój przyjacielu. W końcu nagle wykrzyknął:

— Nawet nie spodziewasz się jak wielką mi to zrobiło przyjemność że cię znalazłem. Zdaje mi się że odżyłem.

Ja, obserwowałem żonę jego i tamtego. Zachowywali się zupełnie bez zarzutu. Mimo to zdawało mi się, że pochwyliłem raz, czy dwa razy jak zamieniali między sobą nagłe i przelotne spojrzenia.

Gdyśmy skończyli obiad, René zwrócił się do swej żony i oświadczył jej:

— Moja droga przyjaciółko, odnalazłem Piotra i zabieram go z sobą, pójdziemy pogawędzić po bulwarze tak jak niegdyś. — Ty nam przebaczysz ten wybryk... chłopięcy — nieprawdaż? — Zostawiam ci zresztą pana Delabarre.

Młoda kobieta uśmiechając się i podając mi rękę, odrzekła:

— Tylko nie zatrzymuj mi go pan zbyt długo.

I oto po chwili trzymając się pod rękę znaleźliśmy się na ulicy. Za każdą cenę chcąc się przecież coś dowiedzieć, zapytałem go:

No, zatem powiedz mi co takiego się stało?

On atoli przerywając mi nagle dalsze pytanie i tonem niezadowolonego człowieka spokojnego, którego bez powodu się zaniepokoiło, odpowiedział:

— Ach, mój stary, dajże mi już raz spokój z temi pytaniami. — Potem półgłosem, jakby mówiąc sam do siebie i z pewnem przekonaniem ludzi, którzy powzięli mądre postanowienie, dodał: — Znadto głupie to było, pozwolić się zabijać w ten sposób.

Nie nalegałem już więcej. Poczuliśmy gawędzić o różnych rzeczach. — Nagle, zaszeptał mi do ucha:

— A gdybyśmy tak poszli na dziewczęta? He?

Począłem się śmiać do rozpuku.

— Jak chcesz.

— Chodźmy mój stary.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/rozsadny>

Tekst opracowany na podstawie: Guy de Maupassant, Wybór pism. Ojciec Amable i inne nowele, tłum, anonimowy, księgarnia i drukarnia związkowa w Chrzanowie, Kraków-Warszawa 1914.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Agnieszka Dąbrowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0528-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.